

# ANTYRECENZJA

Ignacy Gogolewski odmiennie od mojej recenzji ocenia przedstawienie „Anabaptystów” w Teatrze Dramatycznym. To jego prawo, z którego korzysta w felietonie „Za kulisami”. Żadna recenzja nie rości sobie pretensji do nieomylnego wyroku, z którym wszyscy muszą się zgadzać. Zamieszczając tę „Antyrecenzję”, dajemy wyraz znaczeniu, jakie przywiązujemy do tej sztuki i jej autora a także do teatru, który konsekwentnie wystawił już siódmą pozycję Dürrenmatta. Jeżeli o tym znaczeniu i dziełach „Anabaptystów” nie było mowy w recenzji, to dlatego, że o tym pisało już obszernie w przedpremierowych zapowiedziach. Z natury rzeczy krótkość recenzji musiała ograniczyć jej treść także w innych sprawach.

Ta antyrecenzja uzupełnia wydatnie tamte braki, a że w ogólnej ocenie jest odmienna od mojej i zresztą niektórych innych recenzji...? Poszczególnej widzowie rozstrzygną w swoim odczuciu, z kim się zgadzają. „Anabaptystów” zaś na pewno warto zobaczyć, już choćby dlatego, że tak dyskusyjne wywołali opinie.

A. G.

**W** E wtorek przeczytałem w „Życiu” recenzję z ostatniej premiery w Teatrze Dramatycznym i... oniemiałem. Przeczytałem jeszcze raz i szybko wróciłem do pierwszej strony, aby upewnić się czy to rzeczywiście „Życie Warszawy”, potem dokładnie przeliterowałem imię i nazwisko autora. Tak jest! Nie mylę się, pisał to sam redaktor AUGUST GRODZICKI. Jeszcze wczoraj gorączkowo dyskutowałem z kolegami o wydarzeniu teatralnym, jakim są „Anabaptysty” F. Dürrenmatta... I oto Pan, Redaktorze, z największym spokojem wylewa mi szklanę lodowatej wody na głowę.

Czy godzi się tak zaskakiwać Pańskiego wiernego czytelnika?

Pał sześć jednego zaskoczonego i zdziwionego aktora, tu chodzi o parę tysięcy warszawiaków, którzy w dniach świątecznych pomyślą nie tylko o gastronomii, ale również i o tym gdzie by pójść do teatru. Nie namówił ich Pan swoją recenzją do obejrzenia tego spektaklu, a szkoda! Nie przyjął Pan z entuzjazmem tego znakomitego przedstawienia, również żałuję! Może Pan był zmęczony tego wieczoru? Premier co niemiara, a tu jeszcze aktorzy wymyślili dyskusję o krytyce teatralnej w swoim Klu-

bie. Pamiętam, pamiętam, od początku mówił Pan, że to wszystko nie ma sensu i, zdało się, po tym pierwszym spotkaniu aktorów i krytyków, przyznać Panu trzeba rację. Proszę mi jednak darować, że tej racji Panu nie przyznam w ocenie wyżej wspomnianego przedstawienia.

Zdaje sobie sprawę, że ja z tym wszystkim co tu piszę przyjdę do redakcji „Życia”, właśnie do Pana, zapukam, wejdę, usiądę zaproszony przez Pana... Zaraz, zaraz tylko co wtedy powiem? Że mam inne zdanie o przedstawieniu? A tak! że chcę, aby czytelnicy „Życia” poznali inną opinię? Właśnie. Że od dziś nie będę czytał Pana recenzji? Będę, będziemy na pewno! Zbyt wiele powiedział nam Pan o teatrach Paryża, Warszawy, całej Polski i taki „jeden anabaptysta” nie będzie nam bruździł.

Posprzeczając się jednak można — prawda?

**P**OŁ roku temu odbyła się prapremiera „Anabaptystów” w Zurychu, a więc żywot teatralny tej sztuki przypomina noworodka, który zakwilił raz w Szwajcarii, teraz przywieźli go do Polski, owinęli w nowe pieluchy, przewiązali wcale misterną kokardą, a ten rozdarł się na całe gardło. Daremnie usiłowałem znaleźć w Pana jakże krótkiej recenzji, że za-

prezentowano warszawskiej publiczności najnowszą sztukę Dürrenmatta. Twórczość dramatopisarzy nie jest tak płodna ostatnimi czasami, aby pojawienie się nowej sztuki było rzeczą najzwyczajszą w świecie, a tak to zrozumiałem. Autor, którego publiczność warszawska darzy nie zwyczajną sympatią, do ostatniej chwili prowadził korespondencję z teatrem, proponując zmiany, starał się prawdopodobnie nie zawieść tej publiczności i już tym samym zasługuje, aby poświęcić mu więcej miejsca i uwagi. Będąc na przedstawieniu miałem wrażenie, że oto dokonuje się w moich oczach ten najszlachetniejszy, najpiękniejszy akt twórczy. Żyjący autor, przez reżysera i tłumacza rozmawia z aktorami, scenografem, kompozytorem o swojej sztuce, tworzy ją razem z nimi. Nie jestem w Teatrze Dramatycznym i nie wiem jak przebiegały próby, ale znając Ludwika René wiem ile trudu i drobiazgowości, żmudnej pracy włożył w tę polską prapremierę, on sam i pozostali twórcy.

**P**isze Pan: „Ludwikowi René nie udało się nadać całości jednolitego charakteru. A może te nierówności tkwią w samej sztuce”. Jako widz i jako ewentualny wykonawca chciałbym się dowiedzieć, co jest winą autora, a co winą teatru — a poza tym nie zgadzam się z Panem. Doprawdy dawno nie widziałem tak jednolitego przedstawienia. Sukces sztuki jest wtedy, gdy poszczególne twórcy przedstawienia

zmierzają do tego samego punktu. W tym wypadku autor, reżyser, jak i scenograf wraz z aktorami i kompozytorem, spotkali się w tym samym czasie i w tym samym miejscu.

Proszę sobie wyobrazić 20 obrazów, 20 zmian dekoracji w ciągu dwóch i pół godziny. Cóż za sprawność! Każdy obraz choćby najkrótszy nie jest zbędny. Każde pojawienie się aktora umotywowane, a za budowanie sceny proste i funkcjonalne. Trudno mi pisać o moich kolegach, ale przykro mi, kiedy kreację Pietruskiego kwituje Pan „nie wyszedł poza przeciętność”. Będąc nietypowym widzem parę razy byłem zaskoczony propozycją Kolegi. W naszym środowisku znaczy, to bardzo dużo. Znamy się przecież jak tyse konie. Karola V w wykonaniu Szczepkowskiego kwituje Pan, że „inteligentnie prowadzi grę dyplomatyczną; (Nie tylko — napisałem też, że był „świetny” — przyp. A.G.) Ja bym powiedział, że inteligentnie prowadzi Teatr Dramatyczny. Dialog natomiast ze znakomitymi panami Jaworskim, Kalinowskim, Chmurkowskim, Pawłowskim prowadzi ze swadą równą Jerzemu Leszczyńskiemu, który był niezrównany w rolach królewskich.

Każdy z 40-osobowego zespołu narysował sylwetkę bardziej lub mniej udaną,

można dyskutować, ale znając komicie wkomponowaną w całość przedstawienia. To bardzo wiele w chwili, kiedy ciałe narzekamy na brak zespołowości w teatrach. Dla przykładu wymienię p. Koczanowicza, który w malutkiej roli, w każdym wejściu na scenę, ma coś do powiedzenia. Tworzy kapitalny typ przechodząc nieraz w drugim planie. Oglądając ten epizod można uwierzyć w powiedzenie „nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy”. A to że Gruca przyszedł parę razy do teatru, odrywając się od swoich zajęć w Operze i ustawił taniec tak od niechcenia, że właściwie trudno go zauważyć, nie raduję oka, nie mówi o dyskretnej współpracy tego wybitnego artysty z teatrami dramatycznymi?

Na zakończenie Kosiński i Ali Bunsch. Tu musiał Pan, Redaktorze, przyznać, że świetni, dodałbym śmiali, znakomici. Kiedy zespół w barwnym korowodzie kostiumowym wchodził w zakończeniu na scenę i swoim pojawieniem zmuszał widownię do skandowanych oklasków w rytm złośliwej i dowcipnej muzyki Tadeusza Bairda, pomyślałem: Tak, to jest przedstawienie, które przypomina najlepsze czasy Teatru Dramatycznego.

Takie jest moje zdanie. Publiczność zadecyduje kto ma rację? Dla niej przecież wystawiamy sztuki, dla niej piszemy recenzje i antyrecenzje.